Nr. 22. Lwów, dnia 16. listopada 1907. Rok XXX.



Wpisowe do Towarz. (jednorazowe) 4 korony.

Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca“.

W przededniu zimy.

Ubiegła zima pozostawiła swe mordercze piętno na naszych zwierzostanach i zapisała się strasznemi głoskami w pamięci naszej, na szeregi lat. Jelenie w górach, sarny i zające w naszych kniejach nizinnych, a kuropatwy po naszych polach wyginęły w wielkiej części, gdzieniegdzie nawet doszczętnie. Co nie zginęło w głębokich śniegach z głodu, czego nie uśmiercił srogi, tygodniami bez przerwy trwający mróz, to ginęło później na wiosnę, a i dziś jeszcze giną w niektórych okolicach sarny na biegunkę, ostatnie strasznej zimy, ofiary.

Dziś stoimy w przededniu nowej zimy.

Każde nieszczęście lub niepowodzenie, ma tę dobrą przynajmniej jedną stronę, że daje doświadczenie i rady na przyszłość i człowiek myślący wysnuwa pewne wnioski i konsekwencye a w następnem podobnem niepowodzeniu stosuje środki zaradcze, które mogą, jeżeli nie usunąć zupełnie, to zmniejszyć znacznie katastrofę.

W tem samem położeniu jest dzisiaj myśliwy-hodowca.

Jest wprawdzie nadzieja, że tak straszna i sroga zima nie prędko się powtórzy — niech jednak optymizm nie uśpi naszych czujności i zapobiegliwości, gdyż przeszłość nas uczy, że srogie bardzo zimy powtarzały się często po sobie, jak n. p. w latach 1870 i 1871. Zważyć w końcu należy, że zwierzyna nasza, która do tej pory jeszcze nie zupełnie do sił powróciła, słaba i wycieńczona, tej zimy na głód i mrozy mniej wytrzymałą i odporną będzie,

Przypomnijmy sobie raz jeszcze szczegóły tej strasznej katastrofy, którą sprowadziła na naszą zwierzynę nieszczęsna ta zima i rozpatrzmy się, jakie wysnuliśmy z niej wnioski na przyszłość, o jakie wzbogaciliśmy się doświad-

czenia, jakich środków będziemy mogli się imać, by w danym razie nową klęskę od siebie odwrócić, lub zmniejszyć.

Straszna zeszłoroczna klęska żywiołowa zastała hodowców-myśliwych naszych nieprzygotowanymi na jej przyjęcie, a przedewszystkiem niedoświadczonymi w walce z tą straszną potęgą, bo takiej zimy nie pamiętali najstarsi ludzie i nikt z nas pojęcia nie miał, że ona, po długim szeregu małośnieżnych i łagodnych, taka sroga rozgościć się może. W listopadzie z. r. spadł śnieg, który uzupełniany wciąż to nowymi opadami, doszedł do przeszło metrowej wysokości i przykrywał ziemię do kwietnia. W styczniu i lutym szalały kilkotygodniowe ostre mrozy, nie przerywane przez cały czas jednym dniem odwilży. Zwierzyna, a szczególnie sarny, zaczęły ginąć całemi stadami. Nic nie pomogła obficie do lasów wywożona pasza. Przy pełnych drabinkach owsa, przy stogach siana i koniczyny, znajdowano co dnia zwierzęta te ginące, lub martwe całemi dziesiątkami. Tylko w gęstych zapustach szpilkowych prosperowały jeszcze sarny i tam też licznie się trzymały, gdyż miały tam ciepłą ochronę z góry, a przedewszystkiem mało śniegu, mogły wygrzebać sobie legowiska i położyć się na suchej ziemi, nie w głębokim śniegu.

Niektórym naszym hodowcom przyszła wtedy szczęśliwa myśl, wywożenia ściółki do lasu. Wyścielono słomą jakąś przestrzeń, polankę, najczęściej linię. I wtedy sarny ze wszystkich stron się tam ściągały i pokotem się tam co dzień do spoczynku układały. Tak robiono w Hujczu, w Boryniczach i w kilku innych miejscowościach.

W Boryniczach zgartywano wpierw śnieg z linii, na której miano dawać ściółkę. I stwierdzonym jest faktem, że w miejscowościach tych uratowano prawie zupełnie zwierzostany od zagłady.

Nastała wreszcie upragniona wiosna, wiatr południowy pokruszył lody i stopił metrowe śniegi, z pod których wyjrzała młoda zielona trawka. Hodowcy odetchnęli. Jednak radość ich była, przedwczesną. Teraz rozgrywać się zaczął epilog dramatu. Sarny i zające wygłodniałe rzuciły się chciwie na te nowalie, ale wycieńczone żołądki nie zniosły tej nagłej przemiany i nawału pracy, zwierzęta dostały biegunki i to, co uratowało się z zimy, zginęło w kwietniu i maju.

Powodem tego był w wielu miejscowościach brak lizawek i nieodpowiednia w zimie, a szczególnie pod wiosnę zwierzynie podawana pasza.

Lizawka jest jednym z najnieodzowniejszych warunków zdrowej egzystencyi jeleni i sarn, szczególnie tam, gdzie przez zimę podaje się im suchą paszę. Urządza się ją w ten sposób: Odpowiednią ilość soli miesza się z $^1/_3$ części fosforanu wapna lub proszkiem Holfelda, poczem przystępuje się do nakładania ram w ten sposób, że na spodzie kładzie się cienką warstwę gliny, na niej rozsypuje się sól z proszkiem, tak aby glinę równo pokryć; na to przychodzi druga warstwa gliny, którą się ubija mocno. Na to sypie się znów sól, a potem glinę, dopóki się ramy po brzegi nie wypełnią, przyczem należy zachować taki stosunek, że na 10 garści gliny sypie się 12 garści soli, wymieszanej z wapnem lub proszkiem. Aby nadać lizawce formę wzgórkowatą, sypie się jeszcze na wierzch ziemię z solą zmieszaną, ubija mocno naokoło, a na uwieńczenie dzieła wpycha się w środek spory kawałek soli kamiennej. Wszystkie odpadki drzewne i inne w czasie roboty pozostałe należy usunąć, a natomiast w promieniu 1 — 2 metr. naokoło lizawki rozesłać trawę i drobne gałęzie, aby ze śladów na nich poznać można, o ile zwierzyna lizawkę nawiedza.

W górach, gdzie nie wszędzie możliwe jest zakładanie tego rodzaju lizawek, umieszcza się kawałki soli kuchennej w szczelinach skał i pod ścianami przełęczy, przytwierdzając bryłę, gdzie potrzeba, klamrą żelazną. Przenośne lizawki Holfelda znajdą tam także dobre zastosowanie.

Podawanie suchej jedynie paszy zwierzynie nie jest rzeczą wskazaną, a organizm zająca wprost jej nie znosi. Dodatkami do suchej paszy, najwięcej wskazanymi, są buraki pastewne i cukrowe, bulwa i marchew. Dobre są również wytłoki buraczane, świeże lub kiszone. Dalej dzikie kasztany, żołędzie i bukiew. Ważną i potrzebną jest rzeczą, szczególnie wśród ostrej i obfitej w śniegi zimy spuszczanie drzew, a to osik, iwin, wierzb, topól i jodeł. Ich kora, pączki i młode gałązki są ulubionem zimowem pożywieniem zwierzyny.

Pod koniec zimy, ze znikaniem śniegu, zaprzestać należy stopniowo podawania słomiastej paszy, t. j. siana i koniczyny, a zastępować ją paszą skoncentrowaną, a więc owsem w ziarnie lub snopach, kukurudzą, w całości lub gniecioną, bobikiem, grochem. Chleb kukurudziany, specyalnie wypiekany, jest również dobrą i tanią paszą skoncentrowaną.

Oto mniej więcej cały program środków zaradczych, jaki powinien według możności stosować hodowca-myśliwy, chcąc zapobiedz podobnej jak w zeszłej zimie katastrofie. Streścić go można w trzech punktach:

1) Podawanie zwierzynie stosownie dobranej paszy.

2) Utrzymywanie lizawek przez cały rok. Szczególnie w czasie przejściowym, na wiosnę, gdy zwierzyna zmienia suknie, oddają one nieocenione usługi.

3) Podczas wyjątkowo ostrych i śnieżnych zim wywożenie ściółki dla sarn.

Zastosowywając wyżej przytoczone środki, zrobimy co do nas należy i będziemy w stanie skutecznie walczyć z najsroższą zimą.

Pod koniec należy jeszcze wspomnieć i o kuropatwach, które, o ile ich nie zniszczyła ta zima, wyłapali prawie do szczętu nasi najserdeczniejsi przyjaciele w sukmanach.

Przez podawanie ziarna pszenicy, jęczmienia i prosa pod budkami z gałęzi, można ptactwo to od klęski w zimie uchronić, najradykalniejszym jednak i jedynie pewnym środkiem do rozwoju stanu kuropatw służącym, jest wyłapywanie ich w jesieni i przezimowanie pod dachem.

Wyprawa myśliwska pod równik

skreślił

LEON HORODYSKI*).

Przed dwoma laty t. j. w roku 1906-tym, kiedy powracałem z mojej wyprawy Sudańskiej, zaznajomiłem się

*) Znany w szerokich kołach naszych łowieckich myśliwy, a autor niniejszej pracy, stosując się do życzenia wielu swoich kolegów myśliwych, a uproszony przez nas, przysłał nam opis drugiej swojej wyprawy do Afryki. Pracę tę drukujemy z przyjemnością, raz, że rzuca dużo światła na nieznane nam dotąd stosunki społeczne i łowieckie w tej części Afryki i kreśli nam ciekawe szczegóły z życia mało znanych nam zwierząt Czarnego lądu, powtóre, że opis bardzo szczegółowy, wyprawy tego rodzaju dokonanej przez myśliwego Polaka, żywo zainteresuje naszych czytelników.

na statku z pewnym oficerem angielskim, jadącym na urlop do wyspy ojczystej. Oficer ten stacyonowany był w posiadłościach, tak zwanego, protektoratu angielskiego wschodniej Afryki „British East Afrika“. — W długo ciągnących się godzinach morskiej podróży, spotykaliśmy się, to na pokładzie, to w barze, a rozmowa schodziła najczęściej na temat myśliwski. Wśród takich pogadanek powiedział mi pewnego razu mój oficer, że w okolicach, gdzie on stacyonuje, jest „big game plentiful“ i nie może sobie wyobrazić, aby gdzieś mogło być więcej zwierza i w tylu odmianach.

Kiedy w jesieni 1906 roku, okoliczności tak się złożyły, że mogłem pomyśleć o nowej wyprawie myśliwskiej do Czarnego lądu, przyszły mi na myśl owe słowa Anglika i zdecydowały o kierunku ekspedycyi. Przygotowania do wyprawy, podróż morska, odmienne narodowości w portach, rozmaite wrażenia, były już tylokrotnie opisywane przez fachowych literatów, ba nawet przez samego Sienkiewicza, że nie porywam się na takie opisy, gdzie spostrzeżenia muszą być podane w pewnej obrazowej formie i odpowiednim stylu, aby były dla ogółu zajmujące.

Przybijam odrazu do portu w Mombasie, jako ostatniej etapy podróży morskiej, aby ztąd udać się na tereny myśliwskie.

Mombasa jest małą wyspą, z miastem tego samego nazwiska, położoną kilka stopni poniżej równika, na północ od Zanzibaru.

Położenie wyspy jest bardzo oryginalne i wygląda jakby wielkie dzieło rąk ludzkich, mianowicie jak gdyby ludzie w stałym lądzie, wykopali duży, prawie matematycznie równokolisty kanał, dla utworzenia portu.

Wyspa jest więc zupełnie wsuniętą w ląd stały i małą częścią ogląda pełne morze, podczas gdy $^5/_6$ części jej brzegów, otoczone są kanałem i zwrócone ku bujnym zaroślom lądu stałego.

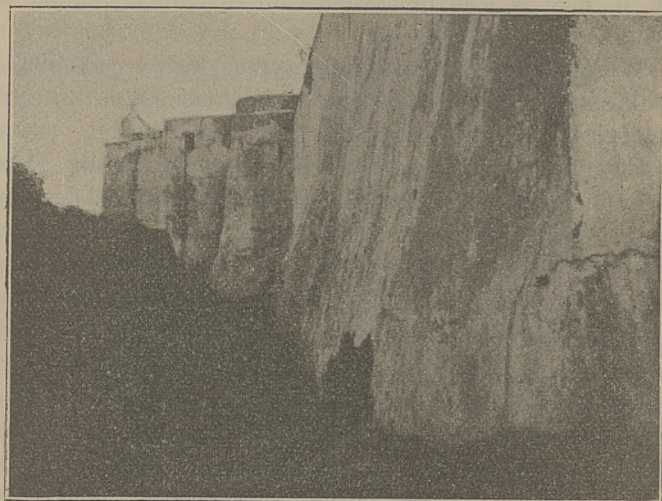
Kanał jest z jednej strony głębszy, przystępny dla dużych okrętów i zwie się w tym miejscu portem Kilindini, z drugiej strony jest płytszy, przystępny dla żeglowców i mniejszych okrętów i zowie się port Mombasa. Miejsca niektóre kanału są tak płytkie, że podczas odpływu można w bród przejść z wyspy na stały ląd.

Miasto Mombasa, ma wygląd wszystkich miast portowych południa, jest siedzibą władz angielskich, kilku konsulatów europejskich, (austryackiego niema) firm kupieckich, banków, hoteli, paru świątyń różnych wyznań, między któremi jest kościół katolicki. Opodal tego kościoła mają katoliccy misyonarze francuscy dwa swoje domy, jeden należy do misyonarzy zwanych białymi, drugi do misyonarzy zwanych czarnymi, stosownie do koloru sutan, które noszą. Krajowcy nie rozumieją dobrze celu odrębności tych dwóch domów i objaśniali, że to są dwie osobne religie, ale księża żyją w zgodzie ze sobą.

Z osobliwości, uderza w Mombasie oryginalny sposób lokomocyi. Po wszystkich ulicach są szyny, wąskotorowa kolejka, jakiej u nas używają do robót ziemnych, a wózki z siedzeniem na cztery osoby i baldachimem popychane przez dwóch czarnych chłopaków, zastępują fiakry. Interesująca jest sala czy raczej szopa urzędu celnego, którą muszą przebyć kły słoni przed wywozem. Cło nakładane jest od wagi, przytem musi być wykazanem, skąd kły pochodzą, a względnie, że nie zostały zdobyte w posiadłościach Br. E. A. W protektoracie bowiem, słonie, jak wszelkie inne nie drapieżne zwierzęta, są szanowane i tylko za kupnem pozwolenia, w którem wyszczególniona jest ilość zwierzyny, do ubicia, wolno na nie polować!



W tym urzędzie cłowym widzi się niejednokrotnie kły tak olbrzymie, że niepodobna sobie wyobrazić wielkości zwierza, od którego pochodzą. Najpiękniejszych okazów, jak w ogóle głównego kontyngentu kłów dostarcza, nie terytoryum protektoratu angielskiego, lecz kraje za Wielkiem jeziorem (Wiktorya Nyanza) położone, gdzie myśliwi nie są tak ograniczeni przepisami. Pierwszy szczebel władz: policyanci i strażnicy skarbowi, zapełniony jest samymi Hindusami o pięknych dumnych rysach twarzy, którzy swymi malowniczymi, czerwonymi turbanami pociągają oko przechodnia; również w biurach, spotyka się dużo Hindusów, w rangach niższych, już bez turbanów i czasami w ubraniach europejskiego kroju.



Od strony morza wznosi się stary fort i złączony z nim szereg — murów i bastyonów, zbudowany przez Vasco de Gama. Są one w zupełnej ruinie, rozsadzane ustawicznie rosnącymi w szczelinach kaktusami i pnącemi roślinami, sama warownia zaś służy za kasarnię czy więzienia, a przechodzący się szyldwach na murach wskazuje, że nie jest opuszczoną.

Klimat Mombasy jest trochę odmienny od klimatu w głębi lądu, przeto wymaga osobnej wzmianki.

Jeden wyraz „tropikalny“ wystarczyłby w zupełności, gdyby nie okoliczność, że i w Europie używamy w gorące lata tego wyrazu, a tymczasem tamten klimat jest tak odmiennym od naszego!

Główną jego cechą nie jest upał, lecz wilgoć. Niema jednego zakątka bez wilgoci, ubrania moje europejskie,

które zostawiłem zapakowane w kufrze w hotelu Cecil, pokryte były za moim powrotem warstwą pleśni.

Grzybki te rozrosły się tak wszechwładnie, że znajdowały się we wszystkich kieszeniach ubrań, zewnątrz i wewnątrz obuwia, a gdy to wszystko wystawione na promienie słoneczne wyschło, pleśń w postaci pyłu, niby popiół, wysypywała się, pozostawiając tylko zapach na ubraniach.

Papier listowy w pudełku wyglądał jak bibuła. Nie ulegają pleśni przedmioty wystawione na przeciąg, to też w hotelu wszystko jest poroztwierane, w drzwiach powiewają perkalowe firanki na sznurku rozpięte, w oknach jakieś koronki, ściany wewnętrzne budynku odgradzające pokoje, nie są murowane, lecz z desek jodłowych, z dużemi szczelinami, i nie dochodzą sufitu — kończą się w wysokości $2^1/_2$ metra, a wyżej rozpięta jest siatka. Czem większa wilgoć w atmosferze, tem upał wydaje się nieznośniejszy i jest nieznośnym nawet w cieniu. Ciepło termometrowe, począwszy od połowy morza Czerwonego aż do Mombasy, waha się w kabinie okrętowej między 22 a 25° R. W hotelu w Mombasie także nie spostrzegałem w cieniu wyższej temperatury.

W godzinach popołudniowych Europejczycy nie opuszczają pomieszkań.

Co do pór roku, teorya powiada, że są ich cztery: Styczeń, luty i pół marca mają być suche i gorące.

Druga połowa marca, kwiecień, maj i czerwiec są miesiącami wielkiej pory deszczowej. Lipiec, sierpień i wrzesień suche. Październik, listopad i grudzień miesiącami małej pory deszczowej. — Gdy jednak wszelkie teorye mają wyjątki, przeto i tu trafiają się, a w styczniu, lutym i marcu, owych suchych miesiącach, padają „deszczyki“, które u nas w Europie oberwaniem chmury snadnieby nazwano.

W Mombasie musi się zatrzymać każdy myśliwy dla formalności cłowych, dla zapłacenia znacznego haraczu za przywiezione strzelby, naboje itp.

Strzelby są przy tej sposobności znaczone i rejestrowane — nikomu używać ich nie wolno, tylko właścicielowi, który je zgłosił. Przepisy te mają podwójny cel: aby nie dostawała się broń w ręce krajowców, którzyby jej mogli użyć przeciwko białym, i aby jako tako kłusownictwu zapobiegać. Co drugi dzień odchodzi pociąg z Mombasy w głąb Afryki, do Wielkiego jeziora. Przez kanał morski, oddzielający wyspę od lądu, poprowadzony jest most żelazny, prymitywnej konstrukcyi, na grubych, niezgrabnych, żelaznych słupach. Przejechawszy ten most znajdujesz się na stałym lądzie, w krainach British East Afrika.

Krainy będące pod protektoratem angielskim, graniczą na południe z koloniami niemieckiemi, a granicę demarkacyjną stanowi linia prosta od góry Kilima — Ndżaro do środka jeziora Wiktoria... Od wschodu granicą jest Ocean Indyjski. Od północy graniczą Somalisi, będący niby to także pod protektoratem angielskim. Kończy się to jednak do tej pory na rysowaniu map z napisem British Somalland, Somaliści bowiem nie uznają żadnego zwierzchnictwa i są zupełnie niezależni. Dla ilustracyi niech posłużą następujące dwa przykłady: Przed $1^1/_2$ rokiem francuski okręt pasażerski podczas mgły i monsumu (tj. wiatru wiejącego w pewnych porach roku z Indyi ku Afryce) zmylił kierunek i osiadł na mieliźnie, na południe od przylądka Garda Fui. Somalisi zabrali cały okręt wraz z pasażerami w posiadanie. Rosyjski krążownik wojenny, spostrzegłszy wypadek, wysadził na ląd marynarzy i wszedł w pertraktacye o oddanie więźniów. Na zwrot mężczyzn zgodzono się niebawem — aby zdecydowali się na oddanie kobiet, musiano wywrzeć presyę i zagrozić użyciem siły zbrojnej... W końcu zgodzili się Somalisi na oddanie wszystkich ludzi, pod warunkiem, że cały okręt z ładunkiem zostanie ich łupem, a zagarnięcie tego łupu wykonali tak dokładnie, że pozdejmowali uwolnionym Europejczykom nawet pierścionki z palców i kólczyki z uszu.

(C. d. n.)



ALBERT MNISZEK.

Przegląd naszych ptaków łownych.

(Ciąg dalszy).

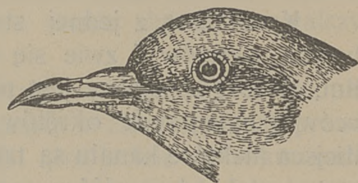
III. Gołębie.

(*Columbinae*, *Tauben*).

Cechy ogólne: dziób mierny, szczupły, łagodnie ściśniony, prosty, dopiero na końcu na dół nieco wygięty, nasada szczęki okryta miękką błoną, ponad nozdrzami nabrzmiałą. Nogi krótkie, czerwone, skok nie upierzony. Głowa mała z wypukłem czołem. Gołębie są ptakami przelotnymi i trzy ich tylko gatunki kraj nasz odwiedzają.

1. **Grzywacz.** (*Columba palumbus*, *die Ringeltaube*). Największy nasz gołąb. Długość ciała 40 do 42 cm., skrzydła złoż. 24 do 25 cm.

Fig. 10.



Głowa grzywacza.

Głowa popielata, wierzch szaro-popielaty, spód różowo-winny. Po bokach szyi metalicznie fioletowo i zielono połyskującej, znajduje się plama biało-płowa w kształcie półpierścienia. Brzeg złożonego skrzydła biały. Samica od samca mniej żywo ubarwiona. Młode nie posiadają białych plam po bokach szyi i brak im prawie całkiem metalicznego połysku, są jednak zawsze po białym brzegu skrzydła łatwo od innych dwu gatunków gołębi do rozróżnienia. Oko grzywacza jest żółte, nogi fioletowo-czerwone.

Ojczyzną grzywacza jest Europa, z wyjątkiem wysokiej północy, północna Afryka i część zachodniej Azyi. Do nas przylatuje wcześnie na wiosnę, najpóźniej z początkiem kwietnia, a z końcem października odlatuje. Trzyma się starych lasów, gnieździ się po drzewach. Samica znosi zwykle dwa razy do roku, raz w maju, powtórnie w lipcu po 2, rzadko 3 jaja, koloru białego. Żywi się grochem, wyką i innem ziarnem.

2. **Siniak,** gołąb polny, (*Columba oenas*, *die Hohltaube*). Mniejszy od grzywacza, większy od turkawki. Długość ciała 31 do 33 cm., skrzydła złożonego 21 do 22 cm. Niebiesko-popielatawy, szyja o metalicznym różowo-zielonym połysku. Na głowie i piersi ton winno-różowy. Samica i młode mniej żywo ubarwione. Tęcze ciemno-bronzowe, nogi fioletowo-czerwone.

Ojczyzną siniaka jest Europa do 60° półn. szer., południowo-zachodnia Azya i północna Afryka. U nas zjawia się jeszcze wcześniej od grzywacza, czasem już w połowie lutego, również późno, bo w ostatnich dniach października odlatuje, a spotyka go się nieraz jeszcze w listopadzie, a nawet w grudniu.

Gnieździ się w zagłębieniach i dziupłach starych drzew. Z okolic, gdzie mu takich drzew braknie, zupełnie się wynosi. W naszym kraju, ptak ten jeszcze przed kilkunastu laty pospolity, należy w wielu okolicach z powyższych powodów do rzadkości.

Samica znosi 2 jaja, barwy białej. Żywi się ziarnem.

3. **Turkawka.** (*Turtur turtur, die Turteltaube*). Najmniejszy i najpospolitszy nasz gołąb. Długość ciała 28 do 30 cm., skrzydła złożonego 17 do 18 cm. Wierzch głowy popielaty, na pokrywach skrzydłowych rdzawo i czarnopstra; pierś i część brzucha o tonie winno-różowym, po bokach karku czarne plamy z białą pstrocizną. Koniec ogona biały. Tęcze ognisto-pomarańczowe, nogi fioletowo-czerwone.

Samica mniej żywo ubarwiona, młode zaś mają głowę, szyję i piersi więcej szare i plamy czarne na karku, bardzo niewyraźnie znaczone. Tęcze u młodych, brunatno-szare.

Ojczyzna turkawki jest Europa, zachodnia Azya i północna Afryka. Do nas przylatuje dopiero w połowie kwietnia, a z końcem września już odlatuje.

Trzyma się pól, małych lasków i ogrodów. Gnieździ się po drzewach. Samica znosi 2 jaja barwy białej. Żywi się ziarnem.

(C. d. n.)



Walka byków.

Dnia 6. października b. r., gdy o godzinie piątej rano, byłem w górnej części mego rewiru, który mi losem przypadł podczas rykowiska, usłyszałem kilka porykujących jeleni. Rzecz dziwna, bo dotąd uporczywie od 20. września milczały. Zauważyłem, że głosy te posuwają się ku górnej części rewiru, którego granica, kończyła się wązką linijką, Nr. 2 nazwaną. Pomiędzy tymi głosami, zwrócił uwagę moją ryk basowy, jakby grobowy jednego z jeleni. Starałem się przeciąć drogę dążącym po za linię Nr. 2 jeleniom, niestety posuwały się one tak szybko, że przeszły wyż oznaczoną linię. Przybywszy na nią, słyszałem nie tylko ów ryk grobowy jelenia, lecz wiele innych, były tam basy, tenory, dyszkanty, lecz ryk ten basowy odznaczał się stale pomiędzy wszystkimi. Stałem bezradny na linii, wtem z przeciwnej strony, słychać kilka głosów jeleni dążących gdzieś z góry ku mej stronie. Linijka Nr. 2 miała za sobą gęsty pas 15-letniej świerczyny, poza nim ciągnął się szeroki, częsty zrąb około 400 metrów szerokości, zarosły maliniakami i wysoką trawą. Jelenie z góry dążyły przez ten częsty wzrąb do tej gęstwiny tam, gdzie patryarcha jeleń o basowym ryku, stałe zajął miejsce. Już zaczęło świtać i co raz wyraźniej widać było, ryk wszystkich jeleni potęgował się, ani na chwilę nie ustawał. Ryczało tam najmniej ośm jeleni, które z wszystkich stron ku sobie się zbliżały. Miejsce, gdzie stał jeleń o tym wyrazistym, basowym, grubym głosie, nie musiało być odemnie dale jak 20—30 kroków; słyszałem wyraźnie chód tego patyarchy, trącanie rogami o gałęzie i sapanie jego. Widocznie był w bardzo wojowniczem usposobieniu, bo pomruki jego, były krótkie, urywane, lecz tak wyraźnie odbijające się od innych ryków, że cała moja uwaga na ten głos była zwrócona. Lecz z drugiej strony dolatywał ryk potężny, wyróżniający się od innych ryczących jeleni. Pomyślałem, oto dwaj patryarchowie tych lasów schodzą się aby walczyć, otoczeni chórem drobniejszych wasali. Już dzień się zrobił zupełny, jużby można podejść, przejść linijkę Nr. 2, podkraść się wśród ryku i strzelić do tego patryarchy jeleniego rodu, stojącego nie dalej jak dwadzieścia kroków od granicy mojej, to tak mało. Ale karność myśliwska, która mi przez rodzica w umysł i serce wpojoną została, przemogła. Zdecydowałem się czekać, aż potentat tych lasów, po ukończonym ryku, by do swych dziennych leż powrócić, przez dwójkę zechce przejść, przypuszczałem bowiem, że przez nią przejdzie, bo stamtąd do dnia przyszedł. Karność odniosła zwycięstwo, a ja nagrodę, jak wkrótce opowiem. Stałem więc na dwójce i wsłuchiwałem się w tę pieśń tych królów lasu, która mieszała się w rozmaite tony, lecz dwa głosy odbijały się wyraźnie od innych widocznie najsilniejszych jeleni tej kniei. Po kilku kwadransach tych preludyów ryku, gdy się wszystkie jelenie zbliżyły do miejsca, gdzie jeleń o grobowym głosie stał, zaczął się taki harmider, że to nie był ryk pojedynczych kilku jeleni, lecz ryczenie bydła rozjuszonego. Nie, nie jestem w stanie opisać tego, com słyszał w tej chwili, bo jak czasem na pastwisku woły się rozigrają i ryczą, tak ryczały te jelenie, jedne długo, drugie krótko i głos urywały, bo tak były już zmęczone, że czasem tylko chrapliwe wydawały tony z trudnością, ale nad wszystkimi górował grobowy ryk mojego faworyta. Po chwili wśród najsilniejszego ryku, gdy już ucho moje wyraźnie słyszało, że wszystkie jelenie są na obszarze kilkudziesięciu kroków, zaczęło się wkrótce zamieszanie, świerki się chwiały, to w tem, to w innem miejscu gałęzie suche trzeszczały na świerkach i pod nogami biegających jeleni, zaczęła się więc walka, wyraźnie ją słychać było, bo naraz wśród takiego ryku, o jakim wyobrażenia nie miałem, że on wśród jeleni słyszeć się daje, walka na rogi; co chwila uderzały z łoskotem wieńce o wieniec. Jak długo to trwało, nie wiem, stałem w takiej extazie, że czasu dziś oznaczyć nie mogę. Po głuchym łoskocie uderzeń rogów, nastawała pauza, słychać było tylko zmęczone sapanie walczących i głuche, urywane poryki. Po chwili znowu szalone uderzanie rogów, które kilka minut trwało i znowu ryki i sapania. Las chodził, świerki się słaniały ku ziemi, a nigdy ani jeden z walczących, ani spektatorów walki nie pokazał mi się na oko. Ryki coraz mniejsze, więcej urywane, głos basowy góruje jak zawsze w tem samem miejscu, czuję, że jelenie się rozchodzą, posuwają się wzdłuż linii ku lewej ręce. Posuwam się za nimi, lecz ryk zwycięski, ryk grobowy ciągle w tem samem miejscu słychać; to mój jeleń patryarcha ogłasza zwycięstwo i pozostaje na miejscu, pobił tamtego, utrzymując się przy placu boju i pewnie wdzięcznej łance, ryczy zwycięsko, więc wracam z powrotem na prawo. Wtem pada strzał na zrębie, to mój sąsiad strzelił, który po drugiej stronie był spektatorem tej walki, on widział wszystkie jelenie, prócz tego patryarchę, widząc, że walka się kończy, że jelenie się rozchodzą, strzelił do jednego z wynoszących się jeleni z pola walki. Jak później się dowiedziałem, strzał był do

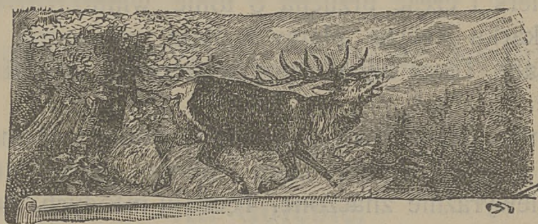
silnego dwunastaka, ale bezskuteczny. Po strzale jakby makiem zasiał, nic nie ryczało, ani gałąź nie trzasła, zdawało się, że się olbrzymy w ziemię zapadły, ale one stały, jam o tem wiedział, że ten mądry zwierz, stoi cicho w gąszczu, aby zwietrzywszy, gdzie niebezpieczeństwo, cicho jak ptaszek wynieść się w stronę, gdzie niebezpieczeństwa niema, cicho bez szmeru, nie złamawszy gałązki, nie trąciwszy rogiem podczas przesuwania się gąszczem. Pewnie z dziesięć minut trwała ta cisza. Z okiem wpatrzonem wzdłuż linijki, z słuchem wpojonym w gęstą świerczynę stałem nieruchomo, czułem, że część jeleni wyniesie się gęstą świerczyną albo wzdłuż linijki, lub przez nią. Naraz coś zaszeleściało więcej na lewo odemnie, posunąłem się kilka kroków, łańka maleńka, pierwiastka wychyliła głowę na linię, ona, przedmiot walki, o nią to chodziło, bo stare łanie z powodu pozrzucania płodu, zupełnie się tego roku nie latowały. Do niej więc wszystkie jelenie z rewiru się poschodziły i o nią walczyły. Łanka linii nie przeszła, lecz wróciła w gąszcz, sądziłem, że się posunęła na lewo wzdłuż linii. Stanąłem na jej tropie nasłuchując, zaraz potem wyszedł tym tropem dwunastak i przeszedł cicho przez linię, ani na myśl nie przyszło do niego strzelić, bo to jeden z pobitych jeleni uciekał, korony na rogach nie miał, to nie zwycięsca, znowu kilkadziesiąt kroków ku lewej ręce się posuwam, słyszę gorzej, więc pytający wzrok kieruję na gajowego, który mi towarzyszył, on palcem ruszył, że coś idzie znowu, nic nie trzeszczy, nic nie szumi, wtem świerki się rozchylają; to idzie zwycięsca, przeczucie mówi. Stałem w parowie, z góry się coś spuszcza, to jeleń idzie całkiem powoli, widzę dwa długie końce rogów, szpiczak myślę, bo bardzo długie, o nie, to nie szpiczak! to kolos jeleń, to dwa końce u jednego rogu. Olbrzym ten ani nie trzasnął gałązką idąc, ani szmeru nie robi żadnego, jak cień się przesuwa pomiędzy świerkami. Jeszcze krok naprzód, łopata ogromna na cel i o 10 kroków wali się jeleń olbrzym, rogi bardzo grube, najmniej czternastak, nie, tylko dziesiątak, ale jaki! Przybiegam, kona trafiony w szyję koło komory. Końce bardzo długie, łopata szeroka, innego nie chcę nigdy w życiu. Patrzę na pysk, otwieram, by grandle zobaczyć, o dziwo, rana na pysku jakby od okrągłej kuli, grandla jednego niema, rana w podniebieniu na kilka cali, to nie od kuli, lecz rana zadana rogiem rywala, częściowe rozczarowanie, to nie zwycięzca, lecz pobity, wynoszący się sromotnie. O, jakim musiał być zwycięzcą, kiedy zwyciężony jest pierwszej klasy jeleniem.

Długość rogów 109 cent., grubość w najcieńszem miejscu 17 cent., szerokość łopaty 14 cent., długość końców poza łopatą 25 cent. Obwód korony 27 cent., rogi grubo uperlone, czarne, wzdłuż rogów wyraźne rowki, cechujące bardzo starego jelenia.

Niestety, nazajutrz widziałem prawdopodobnie zwycięzcę dzisiejszej walki, bo niedaleko od miejsca wczorajszej bitwy, byłem świadkiem drugiej takiej walki jeleni, może nie tak zaciętej, lecz głosu grobowego już nie słyszałem, staruszek padł od mojej kuli. Zwycięzcą był czternastak, widziałem go w drugiej walce, gdy za potężnym gonił jeleniem, a był w ciele o metr wyższym od mego, który robił wrażenie będąc przy nim jak klacz przy źrebięciu. Niestety, gdy goniony wpadł mi pod nogi i spłoszył się, olbrzym stanął za dwiema jodłami zrosłemi i pokazał mi tylko nogi i wieńce. Gdym się wykręcał, aby znaleźć szlachetne miejsce dla umieszczenia kuli, zrozumiał niebezpieczeństwo i tak się gdzieś podział zakryty temi dwiema jodłami, że nawet nie wiedziałem, gdzie uszedł i zniknął mi zupełnie. Widziałem go potem o kilkaset kroków, gdy przeskakiwał kłodę za maleńką łańką, zdaje się, że tą samą, co wczoraj, będącą przedmiotem walk dwudniowych, a którą on zdobył — miał grzywę po kolana jak Yak tybetański. Lecz wieńce, wieńce, one mi tkwią w pamięci. Bardzo rozłożyste, co najmniej metr między rogami w środku, końce w łopacie krótkie, trzy na górze, jeden trochę niżej, lecz grubość pod koroną, grubości ręki dorosłego mężczyzny wyżej odnogi środkowej. Wieńce żółtawe, więc przybysz z lasów bukowych. Oby go jeszcze w życiu raz zobaczyć, a dostać, tenby z pewnością wspaniałego dziesiątaka w piękności przewyższył.

Olejów, w październiku 1907.

Aleksander Wodzicki.



Z tegorocznego rykowiska.

Lwów, 5. października 1907.

Jelenie, które dotychczas wielkie dzieło rozmnażania się, z takim cynicznym gwałtem i hasłem odprawiały, tego roku widocznie na jakimś wiecu postanowiły, że ogłaszanie donośnym rykiem, słyszanem na kilometrowe odległości, czego właściwie chcą, jest rzeczą nieskromną i niemoralną, i powiedziały sobie, że tej przynajmniej jesieni, sprawy małżeńskie odbędą w najściślejszem incognito.

Ale żart na stronę, ciekawe bo to było tego roku rykowisko, jeżeli w ogóle rykowiskiem nazwać można to, co się widziało i słyszało. Polując już od lat kilkunastu w górach Wełdzirskich, nabrałem tego doświadczenia, że rykowisko, które oczywiście z trafiającemi się kilkudniowemi różnicami rozpoczynało się zwykle po 10-tym września, w pełnym było rozwoju ku końcowi tegoż miesiąca. Początek jesieni był tego roku może trochę za ciepły, ale pomimo nie ciekawych wiadomości, że jelenie jeszcze nie ryczą, które ze zrozumiałym w tych wypadkach optymizmem uważałem za przesadzone, jedynie na wiarę barometru, wykazującego stopniową zniżkę, wybrałem się 22-go września w góry. Jechała nas tym samym pociągiem spora paczka myśliwych; dwóch do Perehińska, dwóch do Mizunia, gdzie arcyksiąże Leopold Salwator już od tygodnia ze swojem towarzystwem polował, i trzech do Wełdzirza. Oczywiście, że tematem do rozmów były jelenie, i w rezultacie wzajemne pocieszanie się, że jeżeli do tej pory było źle, to przecież z każdym dniem na lepsze zmienić się musi. W Wygodzie, gdzie na myśliwych jadących do Mizunia, czekał z końmi tamtejszy pobereżnik, dowiedzieliśmy się, że: „Arcyksiąże ubyły gotura, ałe z paniw nikto ne czuł i ne wydił ołena“. Wiadomości zebrane w Wygodzie, z Wełdzirskich rewirów, również nie brzmiały pomyślnie, bo według telefonicznych raportów z gór, czterej myśliwi znajdujący się tam od kilku dni, zajmowali się botaniką, mineralogią, fotografowaniem pięknej okolicy, ale o jeleniach nikt nie słyszał.

W ulewny deszcz, wyruszyłem z synem moim i towarzyszem dr. G. do przeznaczonego dla nas rewiru i przyjechawszy na miejsce, z którego miała się zacząć piesza nasza ekspedycya, i gdzie ludzie do niesienia rzeczy na nas czekali, doszła nas pierwsza radosna wiadomość, że wilią tego dnia, t. j. 21-go, słyszano po raz pierwszy w dwóch bardzo odległych od siebie miejscach, dwa porykujące jelenie. Deszcz, który ustał pod wieczór, a następnie oziębienie się bardzo znaczne temperatury, kazały nam spodziewać się poprawienia stosunków, i chociaż pobereżnicy którzy chodzili parę razy w nocy na podsłuchy, powiedzieli, że żadnego głosu nie słyszeli, z dobrym animuszem wyruszyliśmy każdy w swoją stronę, przy kilkostopniowym mrozie, który błoto ściął na grudę, i wszystkie kałuże pokrył warstwą dość grubego lodu. Spacer mój całodzienny, bo inaczej tego nazwać nie można, okazał się pod względem myśliwskim zupełnie bezowocnym, bo literalnie nic nie widziałem i nie słyszałem, skoro zaś znowu zeszliśmy się późnym wieczorem, dr. G. powiedział mi, że dopiero po 4-tej popołudniu, usłyszał bardzo daleko porykującego jelenia, ale z powodu odległości i spóźnionej pory dnia, o podchodzeniu go mowy być nie mogło.

Następnego dnia, po nocy podczas której ludzie nasi utrzymywali, że słyszeli jakiś niewyraźny ryk, rozeszliśmy się znowu w różne strony, nie słysząc najmniejszego odgłosu, któryby ryk jelenia przypominał. Postanowiłem pójść na Krywy Werch, gdzie już ubiłem dawniej 5 pięknych jeleni i na którego szczycie znajduje się jakby rodzaj obserwatoryum, które mi zawsze służyło za punkt oryentacyjny, stamtąd bowiem nie tylko, że na kilometry słychać ryczące jelenie, ale nadto górując nad kilku zrębami i zworami, widywałem je pasące się i przechodzące z miejsca na miejsce. Wydrapałem się więc tam i tego roku, ale zupełnie nadaremnie, bo z wyjątkiem gwałtownie wabiących się jarząbków, było cicho wszędzie, głucho wszędzie. Postanowiłem przeczekać na tem miejscu bodaj do popołudnia, a tymczasem usadowiwszy się wygodnie na słońcu pod kłodą, posłałem syna mego z pobereżnikiem na godzinkę stamtąd odległą połoninkę, z której jest może jeden z najpiękniejszych widoków w całej okolicy. Zdaje mi się, że się nawet zdrzemnąłem, gdy nagle po 11-tej, po drugiej stronie głębokiego zworu, usłyszałem ryknięcie jelenia. Zdaje mi się, że żadna baterya elektryczna tak szybkoby mnie na nogi nie postawiła, jak ów tyle upragniony odgłos, który parę razy się powtórzył, a potem znowu na dłuższy czas ucichł. Zacząłem wpatrywać się w miejsce doskonale słońcem oświecone, w którem głos usłyszałem i w chwili, kiedy spostrzegłem osobę wydającą go, przybiegł zdyszany mój syn z pobereżnikiem, z wiadomością, że słyszeli i widzą nawet jelenia. Ponieważ o tego samego jelenia chodziło, zaczęliśmy się mu przypatrywać, najprzód gołem okiem, a potem przez szkła. Widziałem go doskonale, jak chodził powoli po zrębie pasąc się i w dosyć odległych przestankach porykiwał tonem głębokiego żalu i boleści. Trwało to może z pół godziny, poczem wszedł do gąszczaku świerkowego i tam widocznie obległ, bo już go więcej tego dnia ani widziałem ani słyszałem. Tego jedynego jelenia mogłem doskonale podejść, ale nawet nie próbowałem, bo chociaż w ciele był bardzo gruby i wyglądał na jakiegoś starszego pana, o czem się zresztą mogłem później, schodząc przekonać po jego tropach, miał zato krótkie i cienkie rogi bardzo lichego dziesiątaka.

Urodzony i wychowany na równinach i płaszczyznach, miałem i mam dotychczas niepohamowany wstręt do wszelkiego rodzaju taternictwa. Nikt mnie cukierkami nie zwabi na górę dla oglądania najpiękniejszego w świecie widoku i w zupełności podzielam zdanie tego pana, który z pewnością nie należał do żadnego klubu Alpinistów, a który powiadał, że nie może zrozumieć, dlaczego ludzie, znajdujący się na dole, drapią się nawet czasami z narażeniem zdrowia i życia na górę, żeby stamtąd zobaczyć, jak ten dół wygląda, poczem znowu jak najprędzei złażą na dół. Jedynym dla mnie wyjątkiem jest polowanie na głuszce i jelenie, wówczas bowiem wyobrażam sobie, że najwięcej stroma góra, najgłębszy jar, lub kłodami zawalony zrąb, są równym i gładkim ukraińskim stepem, po którym jeżeli nie z lekkością i szybkością kozicy lub jelenia, bo mi na to, ani wiek, ani tusza nie pozwalają, ale sapiąc, pocąc się i często w duszy i głośno klnąc, idę drapię się i koniec końców zawsze tam się dostanę, gdzie być potrzeba. Otóż tego roku mam wrażenie, że wszelkie moje obowiązki myśliwskie wypełniłem więcej niż sumiennie. Znając cały rewir Ilemski, w którym od lat kilkunastu poluję, z pewnością lepiej niż ulice Lwowa, bo te co kilka miesięcy inaczej bywają przechrzczone i widząc już drugiego dnia, że na ryk, jako dyrektywę podchodzenia zupełnie nie ma co liczyć, chciałem spróbować szczęścia, czy mi się bodaj przypadkiem nie uda spotkać jakiego porządnego jelenia. Schodziłem wszystkie możliwe i niemożliwe ścieżki, podkradałem się, jak Indyanin pod znane mi legowiska, odbywałem dłuższe posiedzenia przed ulubionemi ich kąpielami i wszystko nadaremnie. To też po sześciodniowych bezowocnych usiłowaniach, jak generałowie rosyjscy w Mandżuryi, z godnością rozpocząłem odwrót. Dojechawszy do Wygody, z przyjemnością dowiedziałem się, że w tem zaklętem nieszczęściu łowieckiem, bynajmniej nie stanowiłem wyjątku. Z ośmiu myśliwych, bawiących ze mną równocześnie w Wełdzirzu, jeden tylko bezskutecznie strzelał do spotkanego jelenia, ale za to, pełno było opisów spotkań z wilkami i niedźwiedziami. Jeden z nich (nomina sunt odiosa) natknął się na niedźwiedzia na 30 kroków, ale będąc zdania, że mądry głupiemu ustępuje, rozeszli się w pokojowem usposobieniu; drugi również spotkał się z niedźwiedziem na 50 czy 60 kroków, ale zaszło jakieś nieporozumienie z lunetą, nastawioną na 300 kroków, a niedźwiedź, jako zwierz gruby i źle wychowany, nie chciał zaczekać na uregulowanie tego optycznego instrumentu. Do mego wyjazdu zatem w Wełdzirzu padł tylko jeden głuszec. Towarzysz mój Dr. G. został jeszcze jeden dzień dłużej na Ilmie i miał to szczęcie, że strzelał do 12-taka i nawet go zabił, ale ponieważ nie chcę wkraczać w niczyje atrybucye, niech sam rozpowie, jak to tam było z tym jeleniem. Z Mizunia, jak się dowiedziałem, odjechał arcyksiążę Salwator z całem swem towarzystwem bez strzału do jelenia, ale znowu rozpowiadano o spotkaniach z wilkami i niedźwiedziami. W Stryju, gdzie schodzą się wszystkie pociągi wiozące myśliwych z gór i gdzie można było dawniej robić studya porównawcze między wieńcami jeleni, wydobywanymi z wagonów, tego roku ani jednej pary rogów nie widziałem i spotkałem się z dwoma myśliwymi, wracającymi ze Smorza, po również nieudanem rykowisku. Słowem zewsząd hiobiowe pod tym względem wiadomości. Z wielkiem zaciekawieniem, będę teraz śledził w „Łowcu“ korespondencye ze sprawozdaniami o tegorocznem rykowisku, z tych bowiem zebranych wcześniejszych i późniejszych wiadomości, będziemy mogli wywnioskować, czy ono tego roku po prostu ze względ-

dów atmosferycznych tylko anormalnie się opóźniło, czyli też, że ciężka i długo trwająca zima, i straszne osłabienie i zdziesiątkowanie ich szeregów, tak ujemnie na jelenie wpłynęły, że po prostu ani siły, ani humoru nie miały do staczania zwykłych walk i zapasów i zaprowadziły jakąś przymusową żałobę, nie dopuszczającą wszelkich, liczniejszych zebrań i uciech.

Stefan Szembek.



Pamiętnik Gal. Towarzystwa leśnego.

Galic. Towarzystwo leśne obchodziło w roku bież. 25 letni jubileusz swego założenia. Z okazyi tej wyszedł właśnie z druku „Pamiętnik 25 letniej działalności Gal. Towarzystwa leśnego“ nakładem przezesa Towarzystwa, Jerzego hr. Dunin-Borkowskiego. Autorem tej pracy jest p. J. Szczerbowski. Według tego pamiętnika dzieje założenia bratniego nam Towarzystwa przedstawiają się następująco:

Pierwsze zachodnie Galic. Towarzystwo leśne założył Albert Thieriot, w roku 1850 c. k. nadleśniczy w Byczynie. Instytucya ta walcząc z trudnemi do pokonania przeciwieństwami rozwiązuje się w roku 1865, a w roku następnym zawiązuje się „Sekcya leśna c. k. krakowskiego Towarzystwa gospodarczo rolniczego“. Ta egzystuje więcej na papierze niż w rzeczywistości i w r. 1871 już się rozwiązuje.

W r. 1852 zawiązuje się sekcya leśna przy c. k. lwowskiem Towarzystwie gospodarskiem dzięki niezmordowanym zabiegom Henryka Strzeleckiego, który pracuje w Towarzystwie do r. 1890, t. j. przez lat 29, jest rzeczywistym założycielem dzisiejszego Gal. Tow. leśnego i w Towarzystwie „najzasłużeńszym“. Jego też staraniem i pod Jego dyrekcyą otwarto szkołę średnią lasową w r. 1874. Za jego staraniem założono 29. maja 1882 dzisiejsze Galic. Towarzystwo leśne.

Pierwszymi obywatelami, których nazwiska czytamy w liście zapisanych wtedy 338 członków, są: Stefan hr. Zamoyski, Kazimierz hr. Wodzicki, Władysław hr. Baworowski, Leopold hr. Starzeński i ks. Adam Sapieha.

Pierwszym prezesem Towarzystwa był hr. Roman Potocki, zastępcą Juliusz Siegler de Eberswald. Dnia 1. grudnia 1883 pojawia się pierwszy zeszyt organu Towarzystwa, czasopisma „Sylwan“, pod redakcyą Aleksandra Nowickiego.

Oto krótko streszczona historya założenia bratniego nam Towarzystwa.

Od tej pory Gal. Towarzystwo leśne rozwija swoją arcypożyteczną działalność w naszym kraju. A zasługi jego około podniesienia kulturalnego gospodarstwa lasowego są olbrzymie. Jubileusz, który ono przed kilku miesiącami obchodziło, był dowodem, że społeczeństwo nasze uznało tę pracę Towarzystwa i wdzięczną za nią być umie.

Nie tylko Galicya cała, ale Królestwo i Poznańskie uczestniczyły czynnie i słownie w tej uroczystości Towarzystwa, a to wymowne uznanie zasług Gal. Tow. leśnego ze strony całego polskiego społeczeństwa jest chyba najwspanialszą dla niego nagrodą za 25 letnią, żmudną pracę. I my składając ten piękny „Pamiętnik„ w naszej bibliotece, ślemy bratniemu Towarzystwu najszczersze „Szczęść Boże“ na nowe 25 lecie!

Korespondencye.

Z Jarosławskiego.

Rożniatów, w październiku.

Rok bieżący wcale nie wesoły dla rolnika, smutnym również się okazał dla myśliwego. Pod głębokimi śniegami, wskutek trzaskających mrozów tegorocznej zimy, którychby się Syberya nie powstydziła, wymarzły nie tylko oziminy, ale zdziesiątkowana wyszła zwierzyna tak piesza, jak i lotna.

Biedne kuropatwięta odcierpiały najbardziej za miłość kraju rodzinnego. Podczas gdy z początkiem zimy jeszcze sześciu cieszyłem się stadkami, w lecie ledwo czterech się doliczyłem. Jeszcze na wiosnę dosyć parek się spotykało i spędzałem je troskliwie z koniczów i łąk w oziminy — pomimo tego wskutek prawdopodobnie słotnej wiosny należycie się nie wywiodły. Szkieletów sarn przemarzłych znaleziono na rzepaku trzynaście a nadto biedne wygłodzone dorwawszy się wiosennej smacznej paszy, tak przeciążyły nią sobie żołądki, że spotykałem wiele sztuk z nieestetycznie farbowanym talerzem — co wskazuje, że na ich stanie zdrowotnym łakomstwo takie odbić się musiało.

Chodząc z psem po polach, spotykam zajęcy mniej niż po inne lata — zatem i horoskopy na jesienne i zimowe polowania niewesołe. Św. Hubert chcąc nam chociaż w części wynagrodzić te różne zawody przysłał poczciwe przepiórki, które burknięciem przed psem przyjemność sprawiały słuchaczowi i jako tako troki zdobiły.

Z początkiem października dzięki łaskawemu zaproszeniu p. Stefana Janki, na skrzydłach nocnego blitza zdążało nas czterech na polowanie do Schönkirchen, 20 klm. od Wiednia.

Zrobiliśmy tam w cztery strzelby poważny pogrom dnia 7. października, bo wieczorem na rozkładzie znalazło się 166 sztuk różnorodnej zwierzyny a w tem: 1 rogacz, 80 zajęcy, 26 królików, 1 krogulec, 36 bażantów, 20 kuropatw, grzywacz i 2 przepiórki. Prócz tego strzelano do kuny, widziano słonki i kaczki, rozmaitość zatem zwierzyny ładna. Ilość strzałów niezliczona, świadczyły o niej tylko szum w głowie i siniaki pod prawem ramieniem, które każdy z nas zdobył. Oryginalne i zabawne a przytem dosyć trudne strzelanie do królików, które mają pasyę prędko uciekać i w najmniej stosownej chwili t. j. w strzale znikają w jamie. Dużo strzałów bezskutecznych puściliśmy także do kuropatw, które wskutek dość silnego wiatru wcale sympatycznie i jak na kulturalne ptaki przystało, z świstem przecinały powietrze.

Największą jednak emocyę sprawiły mi bażanty, które co chwila burknąwszy w miocie, gdzieś pomiędzy drzewami jak strzała niknęły. Od chwili poderwania się tego wspaniałego ptaka, od tego krótkiego słówka „tire haut“ aż do czasu, jak strzał padnie, nie mogę absolutnie odetchnąć, tak mnie w krtani „zatka“, przy takiej emocyi jakżeż może być mowa o celnem strzelaniu.

Toteż tak przyjemnie spędziwszy dzień ten, z wdzięcznością w sercach dla łaskawego gospodarza opuszczaliśmy piękne rewiry, by mieć czem żyć i co wspominać w długich dniach szarego a często wcale nie wesołego żywota w naszej biednej Galilei, która dzięki różnym przyjaciołom i menerom ludowym w krótkim czasie pod względem zwierzostanu zamieni się w Arabię desertę.

Adam Łastowiecki.

Hujcze, dnia 21. października 1907.

W Hujczu dnia 17. b. m. w siedm strzelb i 18. b. m. do godziny 11 rano, w 5 strzelb, polowano na słonki. Było ich bardzo dużo, ruszono ich przeszło 100.

Podniesiono słonek 32, bażantów 6, zajęcy 38, rogaczy 2, lisy 2 i kota.

Ignacy Kociuba
leśniczy.

Lwów, w listopadzie 1907.

Dziwnie kapryśne to ptaki, te nasze długodzióbe figlarki, których zjawiania się niecierpliwie oczekuje każdy myśliwy. Tej jesieni n. p. w okolicach, które mają ustaloną reputacyę słonczą, prawie zupełnie ich nie było, natomiast w innych stronach było ich mnóstwo. Na Podolu i Podkarpaciu nie zaznali myśliwi słonczych rozkoszy tej jesieni. Środkową i południową Galicyę odwiedziły słonki w wielkiej liczbie, a Lwów był przez nie przez 2 tygodnie oblężony, no i w końcu zdobyty, pojawiła się ich bowiem na targach i w handlach taka masa, że ich wreszcie nikt kupować nie chciał. Ciekawe bardzo byłyby relacye dokładne o tym ciągu słonek, ze wszystkich stron naszego kraju przysłane do „Łowca“, ale znając zupełną obojętność w tej mierze naszego ogółu myśliwskiego i jego wstręt do pióra, jestem pewny, że na to się nie zanosi. A ciekawe byłoby to spostrzeżenie tak dla myśliwego, jak i badacza przyrody!

Dnia 8. października polowaliśmy w 4 strzelby w Barszczowicach, własności hr. St. Siemińskiego - Lewickiego. Mimo, że w sąsiednim Jaryczowie grzmiał las od strzałów, my strzelaliśmy wszystkiego do 4 słonek i zabiliśmy jedną.

11, 12, 13 i 15. października polowaliśmy w 5 strzelb w Gródku, u księcia Stanisława Lubomirskiego. Słonek było setkami; zabiliśmy 62 i 2 jarząbki.

16, 17 i 18 października polowaliśmy w ślicznych a bogatych w tradycyę słonczą, kniejach i łozach sokołowskich, u pana Stanisława Matkowskiego. Słonek było mało. Zabiliśmy ich ledwie kilkanaście.

Albert Mniszek.

Z okolic Przeworska, w październiku.

W dniu 28. października, zastrzeliłem we folwarku Białoboki, niezwykle duży okaz oła przedniego (*aquila fulva*). Długość skrzydeł wynosiła 76 cm., ogona 42 cm., ciała 97 cm. Duży ten drapieżca, zamieszkujący wysokie góry, należy na równinach tutejszych prawdopodobnie do rzadszych gości.

Stefan Dunikowski.

Stare sioło, dnia 4. listopada 1907.

Przestały już dzwonić kosy i sierpy, a dla myśliwego huk strzału stworzył nową rozkosz. Stan kuropatw w roku obecnym jest bardzo opłakany, ale zato przepiórki dobrze dopisały a i ciąg słonek, należy do wyjątkowych.

Z początkiem października, odbyło się u mnie polowanie na słonki z nagonką w 4 strzelby, a na rozkładzie leżało 8 sztuk, widziano zaś ze 30 sztuk. Większych polowań gremialnych nie urządzałem, a mimo tego chodząc po lesie na „buszówkę“ przez cały czas sezonu, padło w swoim rewirze około 30 sztuk. Od dwóch tygodni chodzę po lesie dość często a nie udało mi się spotkać ani jednej słonki. Przyczyną tego jest bardzo sucha jesień, skutkiem czego, słonka nie znajdując żeru w naszych suchych okolicach, wynosi się dalej.

Ale oto wczoraj obchodząc lasek 60 morgowy, natrafiłem na jedną słonkę, którą zastrzeliłem. Zachęcony tem, zaczynam skrzętne poszukiwania i w przeciągu godziny natrafiłem na 6 sztuk z których 3 padło. Mam jednak nadzieję, że uda mi się w tym tygodniu znowu kilka sztuk upolować.

Stefan Rylski,
zarządca rewiru.

Sprawy Towarzystwa.



Zapisali się w poczet członków gal. Towarzystwa łowieckiego:

De Longchamps-Berier.
Bohdanowicz Stanisław.
Towarzystwo myśliwskie w Podwołoczyskach.



Bronisław hr. Starzeński

właściciel dóbr ziemskich, członek wieloletni naszego Towarzystwa, myśliwy i miłośnik przyrody, zmarł przed kilku tygodniami w Krakowie. Pokój Jego duszy!

Słownictwo łowieckie.

Ł.

Labirynt, tyle co ogród wilczy, pułapka na wilka, dół z owcą za płotkami jako przynęta.
Labirować, Lawirować, krążyć lub kołować, mówiąc o ptakach drapieżnych.
Lampy, oczy wilka.
Lasa, potrzebna jest przy jastrzębcu.
Laska, 1. do siedzenia myśliwska, 2. do czyszczenia broni.
Latarnia, głowa wilka.
Legart, tyle co wyżeł.
Legartować, próżnować z psami, niepolować.
Legawiec, także **legawy,** tyle co wyżeł.
Legawe pole, polowanie z wyżłem.
Legawka, gatunek rogu myśliwskiego.

Legowisko, miejce, gdzie zwierzyna spoczywa.
Lekko, mówi się do psa, gdy ma oddać przedmiot aportowy.
Lekko aportować, znaczy, że pies zwierzyny nie gniecie.
Lenić się, linić, zmieniać sierć o zwierzynie i psach.
Lep, masa zrobiona z jagód jemioły, tak klejka, że byle ptak siadł na rózdze, pociągniętej lepem, przykleja się do niej.
Lepowa rózga, lepem pociągnięta gałązka.
Lepowa sieć, ramy wielkie, na których wzdłuż napięte są sznurki lepem obwiedzione do łapania ptaków.
Lepowa soszka, tyka, na której rózgi lepem pociągnięte do łapania ptaków.
Lesica, skrzynia z lasek, mniej lub więcej oddalonych od siebie, w której chować można zwierzęta.
Leśny pies, borsuk.
Leża, miejsce spoczynku czarnej zwierzyny.
Liniak, zając niezgrabny w ucieczce, który obrotów nie robi.
Linka, linewka, sznur do wodzenia psów.
Lira, ogon cietrzewia.
Lis, zwierzę należące do drapieżców i zwierzyny pospolitej (Canis vulpes).
Lisiarz, tak zowią psa do polowania na lisy zdatnego.
Liszka, samica lisa.
Lisiura, 1. tak zowią lisa, 2. ubranie myśliwskie na zimę, lisiem futrem podszyte.
Lizogarnki, przezwisko psów, gałganów.
Locha, samica dzika, także samura.
Lochać się, zaspokajać popęd płciowy, mówiąc o dziku.
Loftka, tyle co lotka.
Loszka, mała locha.
Loty, skrzydła ptasie.
Lotki, 1. skrzydła ptasie, 2. tyle co loftki, kulki ołowiane, których kilka szło na jeden nabój.
Lotowe sieci, pewien gatunek sieci do łowienia kuropatw.
Lufa, ta część strzelby, przez którą pocisk przechodzi, najważniejsza część broni, stalowa lub dziwirowa.
Lupar, wilk.
Lustro, 1. zad u sarn, 2, ogon bażanta, 3. połyskujące, niebieskie pióra w skrzydłach krzyżówek, 4. plama biała, trójkątna u cietrzewia na udzie, 5. plama biała na skrzydłach u głuszca.
Luzem, znaczy, gdy psy idą za myśliwym, nieuwiązane na sforze lub lince.

Ł.

Łabędź dziki, ptak należący do ptactwa wodnego i zwierzyny szlachetnej (*Cygnus musicus*).
Łaciasty, tyle co srokaty o psie.
Ładunek, tyle co nabój.
Łaja, złaja lub zgraja, prowadziła psy gończe.
Łamać, 1. mówi się o ptaku drapieżnym, gdy zabija, n. p. jastrząb złamał gołębia, 2. o zającu, gdy zwodzi charty, rzucając się w bok.
Łańcuch, gdy kuropatwy jedna za drugą idą, także łańcuch obławników.
Łania, samica daniela i jelenia.
Łapa, noga lisa, wilka, niedźwiedzia, borsuka i psa.
Łapka, także pułapka, przyrząd do chwytania zwierząt i ptaków.
Łapikura, także łapimyszka, przezwisko lisa.
Łasica, zwierzę należące do małych drapieżców (*Mustela vulgaris*).
Łaska, tyle co łasica.
Łaska norka, należy do małych drapieżców (*Mustela lutreola*).
Łatać, 1. naprawiać sieć, 2. bić n. p. psu skórę wyłatać.
Ława, kiedy kilka psów rzędem zwierzę goni.
Ławka, tyle co blacha.
Łazem, zowią chód niedźwiedzia.
Łazić na bałyku, czołgać się o psie.
Łgarz, pies, który unosi się i szukając zgubionego tropu, zakłada, wracając zaś, zwodzi inne psy głosem.
Łodyga, tyle co pień u wieńca jeleniego.
Łoić, 1. kule łojem smarować, dla usunięcia tarcia w lufie, 2. bić, n. p. łoić psa.
Łojny, tłusty o zwierzynie rochmannej.
Łom, mieszkanie niedźwiedzia.
Łopaty, rogi łosia.
Łoś, zwierzę należące do zwierzyny rochmannej i szlachetnej (*Alces machlis*).
Łowca, przejemca o psie.
Łowcze sieci, któremi się zwierzynę łapie.
Łowczy, rządca łowów. Za Rzeczy pospolitej był urząd łowczego koronnego, który miał obowiązek trudnienia się łowami króla.
Łowczy, albo łowiec, nazwa człowieka, który się łowiectwu poświęca. Do łowców należy myśliwy lub myśliwiec, strzelec, polownik, ptasznik, sokolnik, sokolniczy, bażantnik, zwiernik, stanowniczy, dojeżdżacz lub objezdnik, osocznik, sietnik lub sietniczy, szczwacz, kotłowy lub woźnica psiarski.
Łowiec, Organ galicyjskiego towarzystwa łowieckiego, założony w roku 1878, z początku raz, obecnie wychodzi dwa razy na miesiąc. Pismo ilustrowane łowieckie, bardzo dobre, wychodzi we Lwowie.
Łowić, łapać lub zabijać zwierzynę.
Łowiectwo, jest umiejętnością, albo sztuką łowienia, zabijania i hodowania różnych zwierząt i ptaków, różnymi sposobami. Dawniej dzielono je na wielkie i małe, a to stąd, że niektórą tylko zwierzynę wolno było każdemu łowić, a inną tylko za przywilejem, inną znów tylko koronowane głowy łowiły i tej innym śmiertelnikom wcale nie wolno było strzelać i łowić. Inny podział nastąpił później, na małą, średnią i wyższą zwierzynę. Obecnie dzieli się zwierzyna na drapieżną i pożyteczną, lub szlachetną i nieszlachetną.
Łowisko, miejsce łowów.
Łowny, jest mówiąc n. p. o jeleniu, jeleń wyrosły.
Łowy, wyprawy myśliwskie, celem upolowania zwierzyny.
Łoże, część drewniana u strzelby.
Łożysko, tyle co legowisko.
Łożnik, tyle co osadnik, rzemieślnik osadzający strzelby.
Łuczny, zowie się pies, który zwierzynie z przodu zabiega.
Łupież, kawałek pokarmu, przywiązany do głowy ptaka wypchanego, dla zachęcenia i wyuczenia sokoła.
Łupur, tyle co wilk.
Łuska, nabój próżny, nienabity.
Łyska, ptak należący do ptactwa wodnego (*Fulica atra*).
Łyżki. uszy sarny, daniela, jelenia i t. p.

(C. d. n.)



Drobne ogłoszenia i inseraty.

Pudel (pies) czarny, trzyletni, do odstąpienia w dobre ręce. Kurkowa 23. dozorca.

Zarząd dóbr Kornalowice p. Kranzberg ma na sprzedaż 250 cent. metr. żołędzi po 20 koron, za 1 centn. metr. loco stacya Kalinów. Wysyłka uskutecznioną może być zaraz po otrzymaniu worków.

Jubiler

JAN JARZYNA

poleca **wyroby złote i srebrne.**
WYBÓR ZNACZNY. — CENY UMIARKOWANE.
Lwów, hotel Europejski, plac Maryacki l. 4.

Eugeniusz Maryan Unger

rytownik (graveur)
oraz **PRACOWNIA PIECZĘCI METALOWYCH I KAUCZUKOWYCH**

Lwów — ulica Akademicka liczba 8.

Rytuje gustownie i stylowo, według najświeższych wzorów, wszelkie monogramy, herby i napisy na różnych metalach i drogich kamieniach, oraz wypukło rzeźbione i cyzelowane napapierośnice, laski, teki, adresy. Tablice metalowe, lane i metalowe dla urzędów, lekarzy, adwokatów, fabryk, straży polowych. Tablice oryentacyjne dla ulic, domów itp. Cęgi do plombowania i opłatków, także toporki do cechowania drzewa. Drukarnie kauczukowe „Perfekt“. Numeratory i maszynki do numerowania.

Ceny umiarkowane. — Wykonanie na oznaczony czas.

Magazyn i Pracownia Futer

Braci Lubelskich

we Lwowie, ul. Wałowa l. 3.

POLECAJĄ NA SEZON ZIMOWY
swój obficie zaopatrzony

MAGAZYN FUTER

tak w skórach futrzanych,
jakoteż

GOTOWYCH FUTRACH
damskich i męskich.

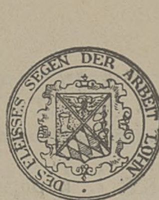
BOA, ZARĘKAWKI, CZAPKI

i wiele innych rzeczy w zakres kuśnierstwa wchodzące.



Przyjmujemy stare futra i przerabiamy na nowe fasony, licząc wszystko po możliwie jak najtańszych cenach.

Cenniki illustrowane na żądanie.







Prawnie zastrzeżone.

Jedynem nieprzemakalnem smarowidłem na skórę jest

HEVEAX

czyni skórę miękką, trwałą

i pod gwarancyą nieprzemakalną.

Cena jednej puszki wraz z pędzlem K. 3.—. 10 puszek tylko K. 25.—. Po otrzymaniu K. 3.50 wysyłamy jedną puszkę franko do każdej stacyi pocztowej w monarchii przez:

Laboratoryum Kubanyi Sisak (Kroacya).

Niezliczone świadectwa fachowców i wysoko postawionych osób. Na wystawach fachowych tylko pierwsze odznaczenia.

Towarzystwo

Wzajemnych Ubezpieczeń Urzędników Prywatnych

we Lwowie, Hotel George'a

oparte na wzajemności i zasadach asekuracyjno-technicznych, a zarazem o celach dobroczynnych, — przyjmuje ubezpieczenia, a w szczególności ubezpiecza za jedną składką **renty na wypadek nieudolności do pracy, renty na starość, renty wdowie, pensye sieroce, kapitały pośmiertne, posagi** itd., a to w najrozmaitszych kombinacyach.

Ubezpieczać się mogą urzędnicy prywatni wszelkich kategoryi, oraz osoby zarobkujące samoistnie lub w tak zwanych zawodach wolnych — bez różnicy płci.

Szczególne korzyści:

Po trzech latach trwania ubezpieczenia jest polica nieprzepadalna, t. j. Towarzystwo zwraca po tymże czasie na żądanie ¾ składek netto bez odsetek.

Oprócz ubezpieczonych rent ma każdy członek ubezpieczony, każdy emeryt lub wdowa prawo do zapomóg doraźnych w wypadku choroby, braku posady etc., wszyscy zaś członkowie i ich rodziny mogą korzystać z licznych fundacyi stypendyjnych i posagowych, oraz z bursy Towarzystwa. Członków poleca Towarzystwo bezpłatnie na posady.

Towarzystwo będzie od r. 1909 ustawowym zakładem emerytalnym zastępczym w myśl ustawy z d. 16. grudnia 1906 Dz. u. p. Nr. 1 z r. 1907.

Prospekty szczegółowe wysyła i wszelkich wyjaśnień udziela na żądanie:

Wydział centralny Towarzystwa
we Lwowie, Hotel George'a.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**